



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Upał afrykański, więcej kurzu, niż chleba powszedniego, i prysznic niespodziewany podczas polewania rozpalonych ulic, przekopy i kupy piasku przy budujących się kanałach i domach kanalizowanych, parę rozjechań codziennie dokonanych przez gapiących się czy sennych woźniców, *salto mortale* jakiegoś majstra od kielni, zawieszonego, jak pajak, na swojej drabinie u gżemsu czteropiętrowej kamienicy, i piruet podobny myjącej okna pokojówki, kilka wypadeczek, obdarzającej nas nieproszonym przywiązaniem, cholery—a wreszcie, sypiące się jak z rękawa, dobre, doskonałe i genialne projekty, tyczące się reformy loteryi klasycznej, oraz zdania moralne wygłaszane kolektorom i kolektorkom: oto obraz Warszawy podczas nudnego, jak lukrecya, sezonu ogórkowego. Zapewne, że znalazłoby się i wiele innych rysów, o których nieźgorzej byłoby pogawędzić z wami, ale...

„Świr, świr za kominem.“

Pac!

I dostał świerszcz po łapie...

Jestem w tak doskonałym usposobieniu, że gotów-bym sonecik o cholery napisać i zaniósłbym do niej jedno serdeczne błaganie; ale szanowny wydawca pisma, którego mam zaszczyt być kronikarzem, przywołuje mnie do porządku.

— Panie Michale—mówię mu — proszę mi pozwolić wesółą piosnkę zaśpiewać.

— Ależ nie o cholery chyba?

— Czy myślisz pan, że z tego tematu nie zrobić nie można?

— Przestraszyć ludzi?

— Bał gdybym to mógł przestraszyć i wystraszyć niektórych; w każdym wypadku jednak, sądzę, że wierszyk będzie udatny.

Pan Michał spojrział na mnie z ukosa...

— Czy—czy to ja... nie pana... czasami spotkałem wezora przy Bonifraterskiej ulicy?

— O, źle! pomyślałem sobie. Dobre moje intencje opacznie zrozumiano. Co za związek na przykład, Bonifraterskiej ulicy z sonetem o cholery?

Trochę mi się mdławo zrobiło i, pożegnawszy uprzejmie pana Michała, wyszedłem, markotny nieco, na ulicę.

Na zakręcie spotykam p. Atanazego Bibułę (nazwisko mało znane, ale bardzo cenione we wszystkich miejskich i zamiejskich knajpach); podchodzi ten człek do mnie i, biorąc za łokieć lewego ramienia, rzecze:

— Panie dobrodzieju! Wspominałeś pan w ostatniej swej pogawędce, z pewną tęsknotą nawet, że katarynki znikły w Warszawie. Otóż nie!

— Nie?

— Upewniam pana.

— Gdzież są, radbym posłuchać.

— Bardzo dobrze...

— Zatem?

— Chodźmy do Jana Bożego...

— Cooo?

Najoczywistrza zmowa.

Pan Michał przez Bonifraterską ulicę, a pan Atanazy wprost do Jana Bożego już wiedzie.

Zgrzytnąłem zębem lekko, skłoniłem się jeszcze lżej, i przez różne passaże domów wróciłem do siebie jaknajlżej w świecie.

A jednak p. Atanazy Bibuła miał słuszość: dźwięki katarynek są obecnie przedmiotem rozrywki biednych obłąkańców. Niektórzy uspakajają się, słuchając jakieś rzewnej melodyi, spokojniejszą twarzą, jaśniejszą patrzą żrenicą. I wtedy badacz uważny w tym przelotnym błysku oczu dojrzy chwilowe rozbudzenie się dawno uspionej

myśli; może to zadźwiękla nuta znajoma, może kilka taktów obcej nawet nuty miało podobieństwo do jakiejs dawno słyszanej piosenki, słyszanej—w chwili szczęśliwej, i—przez jedno mgnienie oka, jak błysk piorunowy, uczucia dawne, marzenia—wszystko to, co stanowiło niegdyś treść ludzkiej istoty, rozbudziło się nagle, jak błysk piorunowy,—przez jedno mgnienie oka. Niektórzy z obłąkańców, z niemałym zadowoleniem, ujmują korbkę instrumentu i kręcą nią zawzięcie, a że w różnych kątach ogrodu grają z ulic miejskich wygnane katarynki, brzmi więc gędzba zmieszana, podobna do umysłów biednych słuchaczy tej muzyki.

Zdaję wam tu pobieżną relacyą z tego przybytku katarynek warszawskich, nie z własnych spostrzeżeń, ale według słów naocznego świadka, który mi z rzewnem uczuciem opowiadał o tych nieszczęśliwych mieszkańcach Jana Bożego. Ja, osobiście, jeżeli kiedy zachodził do domów tych rozbitków, czyniłem to z przymusem wielkim. Nie znam nic boleśniejszego nad patrzenie w oczy ludzi, w owo zwierciadło duszy, pokryte mgłą nie zdjętej już nigdy zasłony; czyni to na mnie wrażenie, jakbym spozierał w dno wielkiego skarbcza, w którym niegdyś ukryte były najdroższe perły, najczystszej wody brylanty, urny wielkich wspomnień, kielichy róż wonnych, zielone prątki powoju, mogące się pięknym osypać kwiatem: a tymczasem ktoś skarbiec opróżnił, niezostawiając nic, prócz spopielałych resztek szat jakichś, okruszyn piasku i szerniałych listków paru. Patrząc w ten grób opróżniony z myśli, niezmierny ból czuję, i jakaś litość ogromna mnie ogarnia i trwoga.

— Co z tobą się dzieje, duszo ludzka—co z tobą się dzieje?—wybiega na usta pytanie palące, nierozwiązane dotąd przez mędrce świata.

— Gdzie moje myśli?—wołał obłąkany Guy-de-Maupassant, czując rozrzerzającą się próżnię w swej duszy.

Straszny okrzyk, okropna chwila, w której dłoń jakaś nieznana wykrada skarby najdroższe, a ująć jej nie można, zatrzymać nie można straszego złodzieja. Nie dziwię się czasom barbarzyńskim, gdy obłęd uważał za dzieło szatana. Wygnać go chciały ogniem i torturami, taki strach ogarniał ludzi na widok istoty ludzkiej pozbawionej — myśli.

Zmieniły się czasy, pojęcia, wyobrażenia — na tronie kary usiadła litość, z opętanych stali się nieszczęśliwi.

Bodaj cię, panie Atanazy Bibulo, cożes ty zrobił z moim dobrym humorem? Gdy ja czuję pewne drżenie w sercu i czoło mam schylone smutkiem wielkim, ty, szczęśliwczu, w godzinie może owej raczysz się dziesiątym kufem napoju Gambrinusa, nie przypuszczając nawet, że komuś zamąciłeś spokój. Otrząsam się — zbieram rozpierzchnięte myśli. — Poczekajcie — chwilę! O tem, o tem pomówić jeszcze można... Tak — temat niezły!...

„Świr, swir za kominem...”

Paci!

Ot — i macie!...

— No — no, panie kronikarzu, czekamy owego niezłego tematu.

Chrzakam.

— Dalej!

Milczę uparcie...

Galerya się niecierpliwi — tupanie.

Zabieram głos:

— Zakroczym się spalił, grady wyrządziły rolnikom szkody na kilka milionów rubli, było parę spotkań się pociągów, podczas których ludzie łby sobie porozbijali, parę morderstw na bardziej oddalonych ulicach od śródmieścia, jeden napad na spóźnionego przechodnia w śródmieściu, pęknięcie murów nowozbudowanej kamienicy także w śródmieściu, zwalenie latarni przez rozbieganego rumaka, znowu sen o bulwarach, marzenie o nowym zreformowaniu loteryi i zapowiedzenie przez dyrektora teatru nowości p. t.: *Żyd wieczny tułacz*.

A będzie pae?...?

Po co? na co? dlaczego?...?

Oddycham...

— Tylko, że *„Żyd wieczny tułacz”* nie jest nowością.

— Dla starszego pokolenia, tak! Ja nawet — o ile sięgnę pamięcią w coraz dalej i szybciej uciekającą przeszłość, widziałem gdzieś, niegdyś ów wstrząsający melodramat. Lecz trudno być egoistą: niech i pokolenie młodsze zapozna się z Żydem, po którego przedstawieniu ma nastąpić, przerobiony na scenę, znany przed laty romans: *„Rekopis znaleziony w Saragossie”*. Zastrzegam się jednak przed ewentualnością niedojścia tej nowości do skutku. Odpowiedzialności żadnej za to na siebie nie biorę: tak mi mówiono, i to szepceniem. A więc, jeżeli zawód was spotka, szanowni czytelnicy, „nie jam był winien, lecz lilija winna”.

Scena nasza nie próżnuje; wyborna gra artystów dokonywa prawdziwych cudów, gdy zmusiła nawet publiczność tutejszą, zbaczającą chętniej na Królewską niż do Letniego, do zapelnienia po raz ósmy teatru w Saskim Ogrodzie po brzegi, podczas — dramatu.

A prawda, że nowina?...

— Bez wątpienia wykopano areydzioło jakie?...

— Tego nie powiem. Że... Wiktoryn Sardou jest majster, że zręcznie poprowadzoną intrygą może zająć widzów, że doskonale zna scenę i jej stronę techniczną — o tem sprzeczki nie masz. I *„Ferreoł”* zapelniający po raz ósmy widownię teatru, jest pod tym względem zręcznie napisaną sztuką; ale, żeby przemawiał do nas jakąś głębią psychologiczną, był czemś zupełnie nowem — tego zdaje się, z czystym sumieniem nie można powiedzieć. Jakkolwiek po raz pierwszy jest się na *„Ferreołu”*, sztuka ta nie wydaje ci się wcale obcą, a przynajmniej motywy do niej użyte, zdają ci się być jak świat starem.

I tak jest w rzeczywistości.

Niewinny posądzony o zabójstwo staje przed krótkami sądu.

Są pewne, aczkolwiek nie zupełne, naszym zdaniem, poszlaki, że to on właśnie dopełnił morder-

stwa. Mord w połączeniu z rabunkiem wedle surowej litery prawa pociąga za sobą śmierć, albo dwadzieścia lat galery. To też ostatni, złagodzony wyrok sądu zabrzmiął dwudziestoletnią karą galerniczą.

Skazany był niewinny zarzucanego mu przestępstwa, był do tego przyjacielem i bratem narzeczonej Ferreoła, który mimowolnym świadkiem będąc zbrodni, znał rzeczywistego zbrodniarza i ukaraniem przestępcy mógł uwolnić ofiarę omyłki.

Dlaczego jednak tego nie uczynił?...

Nie mógł.

Mógł i nie mógł?... Jaki?...

Musiałby się zdradzić przed sądem z bytności swojej w chwili dopełnienia zbrodni u żony prezesa sądu. Światało, gdy wybiegał przez balkon, widział zbrodniarza i umknął, by zatrzeć wszelki ślad po sobie.

Honor więc kobiety staje tu przeszkodą do wyświetlenia rzetelnej prawdy.

Rzecz cała dobrze się kończy. Jak? to już zapewne wiecie, bo jeżeliście nie byli na dramacie, to powiedziały wam o tem różne sprawozdania dzienników.

Kompozycya osnuta na procesie kryminalnym, w której potracony jest honor kobiety i około której odbywa się cała akcja dramatu — przypomina nam coś znanego dobrze, tak dobrze, jak własne biurko, przy którym znaczną część dnia przepędzać zwykliśmy. I przychodzą nam na myśl czasy, w którym z zapartym oddechem czytaliśmy kryminalne powieści Gaboriau, w których sławny Le Coq, mimo niezwykłych powikłań sprawy, po nitce dochodził do kłębka. Niejednokrotnie tam ów honor kobiety był przyczyną skazania niewinnego, z niego wypływały najdramatyczniejsze sytuacje i sceny wstrząsające grozą swoją, z powodu których — jak mi jedna niedgysz z czytelnicek romansów owych mówiła — paznogie jej bieleły.

I rzeczywiście, powieściowe te dramata targają nerwami.

„Ferreoł” niezem innem nie jest, jak tylko echem owych sławnych swojego czasu powieści kryminalnych, ale, że one utkwily dobrze każdemu w pamięci, jednym i drugim przełaziły się uchem — więc dramat pana Wiktoryna, pozbawiony głębi psychologicznej nie nęci, jako nowość, ani jako dzieło genialne, choć na starym zbudowane fundamencie.

A jednak po raz już ósmy teatr zapelnia i nieprędko znuży widzów.

Dlaczego?...

W znacznie mniejszej części jest to zasługą doskonałej budowy sztuki — lwia część jej powodzenia przypaść tu musi przewybornej grze artystów. Gdyby nie Lüdowa, grająca rolę żony prezesa sądu, o której honor rzecz się cała rozbiła, wstrząsająca grozą swojego położenia, walką między wstydem a obowiązkiem, tem bardziej, że kochającemu ją mężowi nie a nie zarzucić nie może; gdyby nie Leszczyński, który wcielił się w postać zdradzonego męża i surowego sędzi; gdyby nie świetna gra Nowickiego, Ferreoła, który bez zgody wmięszanej w tę sprawę kobiety ust swych nie może otworzyć, by uratować przyjaciela, a ust nie może otworzyć i dlatego jeszcze, że to on właśnie, namówił tę kobietę do schadzki nie-szczęśliwej — gdyby nie oni, te gwiazdy dzisiejszej sceny naszej — dramat pana Wiktoryna Sardou nie miałby w sobie zbyt wielkiej przynęty, nie pociągłby tak widzów, jak to się dzieje obecnie. To też, podczas antraktów, przysłuchiwałem się rozmowie publiczności. Nie fabuła dramatu, która być może nowością na scenie, ale zkądinad, jak to zaznaczyliśmy wyżej, znana szerszemu ogółowi — pociągała ten ogół — lecz doskonała gra artystów.

— Sztuka, jak sztuka — tak sobie... ale grają!...

Pocałowanie się w palce dopowiadało resztę.

Mamy nadzieję, że dyrekcyja dbająca zawsze o repertuar sztuk dobrych, nie odtrąci niejednego dramatu swojego pióra, a znajdują się i u nas perelki, choćby niekoniecznie ubrane w powagę aktów pięciu.

Nastąpiły już czasy właściwej kanikuły, i termometr do nieprzyzwoitej podniósł się wysokości, a o przyzwoitem spadnięciu nie myśli wcale. Gorąco — na jednych omdlewająco, na innych rozdrażniająco — wpływa, a ponieważ rozdrażnienie wywołuje gniew, gniew zaś musi być spędzony na coś lub na kogoś, korzystając więc z tego prawa, wszystkie niemal pisma codzienne rzuciły się z kanikularną zajądlnością na niewinną samą w sobie loteryą klasyczną i częściowych winowajców — kolektorów i kolektorki. „Nikt bez nadatku jednej nawet éwiartki losu nie kupił; spekulanci tylko mają przystęp do związanych z nimi wspólnością szwindlowego interessu kolektorów, pań i panów” — hajże na Soplicę!... Ci i owi podawali różne środki naprawy instytucji, wynajdywali paliatywa na tę ciężką chorobę, która się w potocznej mowie szachrajstwem nazywa, znaleźli się i tacy nawet, (ci pewno do bocianiego rodu należą) którzy, pragnąc wpłynąć na umoralnienie utrzymujących kolekty, radzili, ni mniej ni więcej, tylko — skassować loteryą.

„Nie można po koniach, to po hołoblach,” — „ślusarz zawinił, a kowala powiesili.”

Rozsierdzonych już przywołał Prus do porządku, przynajmniej się, z nieobrażającą nikogo skromnością, że znał jedną kolektorkę, u której zawsze éwiartkę dostawał bez nadatków; ja zaś tu dodam, że stale, również bez nadatków, w dwóch miejscach, po dwie dostawałem éwiartki, bez gwałtu, awantur, dobijał się do drzwi, z wszelkim spokojem o całość swych boków. Że niezupełnie tam się tak dzieje, jakby tego ucieisowości wymagała — sprzeczać się nie będę; ale, że dotychczas podawane i zastosowane środki psu na budę się nie zdały — to wątpliwości nie ulega. Przeciwnie! — Ludzie pragnący skromną éwiartką losu skusić, ci, co zawsze ją mieli i nią się w prostocie ducha cieszyli, przez drący się tłum do przybytku szczęścia nie dotarli; spekulanci zaś, którym przestać godzin parę na upale nie wiele znaczy, mieć naderwane poły surduta nie zawstydzają wcale, energicznym kuksem drogę sobie utorować jest rzeczą zwyczajną — ci, *chevaliers d'industrie* zyskali w dwójnasób, mimo urzędnika bankowego, pilnującego, by nadużyć nie było. Myśl skasowania starej instytucji jest bardzo niefortunna. Mimo zła, które jest nieodstępnym towarzyszem wszelkich czynów ludzkich — ma owa loterya i dobre strony. To nie ruletka, rozpalająca ludzi do obrzydzenia, to nie totalizator, gdzie się poważne przegrywają summy: éwiartka losu nikogo nie zruinuje, a czasem szczęście przynieść może.

— Ale w loteryą grają — stróż, pokojówka, wyrobnik niemal każdy, ludzający się nadzieją wygranej?

— Tak — ale ci gracze dzielą nabytą éwiartkę pomiędzy sporą kupkę osób; nieraz na tę éwiartkę losu, kosztującą 3 rs. 6 kop., składają się złotówki i groszaki. Niech stawka wyjdzie, a wychodzi często — już włożony grosz wrócił się z nadatkiem małym.

Panowie łaskawi! Jeżeli nie takiego nie wymyślicie, coby skutecznie na wyzysk podziałało, zostawcie, tymczasowo, rzecz całą tak, jak była, to jest: prawo zapisywania się w księgach kolektorskich i tym sposobem dajcie możność zapewnienia grającym choć części losu; lecz nie dozwólcie, by — jak to było ostatnim razem — o posiadanie tej części dobijano się w iście barbarzyński sposób. Człowiek, który nie zawsze czasem swoim rozporządzać może, nie przyzwyczajony do rozbijania kulkami bliźnich swoich i niechętnie sam je przyjmujący, dobrowolnie wycofa się z takiej kompanii, wyrzeknie się najniewinniejszych pokus, byleby mu wynieść się pozwolono cało. Opuszczone miejsce ktoś zająć musi. —

Kto?

A no — owi, przeciwko którym właśnie broń wymierzona była: niezrażeni nigdy i niezem — spekulanci.

Z POEZJI JULJUSZA ZEYERA.

I.

M u z o m.

Dzięki, o, dzięki,
Harmonijne muzy,
Za śpiewu dar!

Z ludzkiej mi ręki,
Jak z lic Meduzy,
Zły płynął czar.

Wasze wszak głosy,
Z Hymetu rosa,
Zbawiły mnie!

Noga ma bosa,
Bez lauru włosy,
Za bojów dnie

Życie żebracze
U drzwi świątynicy,
Gdzie piewców czczą,—

Lecz w chram ich patrzą,
Gdzie od stolicy
Promienie drżą.

Z niebiańskich godów
Kęs chleba bratni
Ot w ręku mem,

Żem z pierwszych rodów,
Choć snadź ostatni,
To przecież wiem!

Czemże mi męki,
Tłuszcz kławy, gruzi,
Ich ryk i swar?

Dzięki wam, dzięki,
Harmonijne muzy,
Za śpiewu dar!

Przełożył z czeskiego
Miriam.

PRZEZNACZENIE KOBIETY.

(Dokończenie).

Światło prostuje ścieżki życia ludzkiego w każdym jego kierunku, i potrzeba jest tego światła człowiekowi, czy to jest mężczyzna, lub kobieta, bo w ciemnościach łatwo jest zabić i rozstrzegać tu tylko przypadek, zali droga obrona jest dobrą? Oświecenie umysłu staje się też w człowieku wolnością jego ducha, bo wie on wtedy co robi, do czego dąży, i nie powinno tu być różnicy żadnej między kobietą a nim w zakresie tej wiedzy, która daje nam pojęcie o celach życia ludzkiego: o jego wyższych lub niższych kierunkach. Kobieta potrzebuje zatem ze względu tak na swe szczęście, jak i obowiązki, posiadać umysł wykształcony, i edukacja intelektualna jest tak potrzebna kobiecie, jak mężczyźnie w celu tym znaczenia najwyższego, aby umiała żyć — aby rozumiała przeznaczenie swoje wśród świata. Strona naukowego oświecenia umysłu znaczy tu dużo, bo

umysł rozszerzony przez wiedzę ogarnia horyzonty życia rozleglejsze, nie przykuwa się więc z nadto do drobnostek i umie czynić różnicę między tem, co jest małym a co jest wielkim, ale widzi zarazem, że wielkość wszelka składa się z małości drobnych.

Kobieta przez praktyczne strony życia przykuta, bywa do prac, do zabiegów życia drobniejszych, podrzędniejszych; jeżeli przecież umysł jej pojmuję czem są cząstki względem całości, nie lekceważy zadania swego, nie zasklepiając się przecież w małościach. Umieć spełniać rzeczy małe ze względem i myśla na wielkie, jakie z nich powstają: to mądrość, jakiej brakuje często tej kobiecie, która, pragnąc dążyć wzwyż, odrzuca od siebie te obowiązki, które są jej powinnością, więc łamie rządzące nią prawo moralne i sprzecza się z przeznaczeniem swoim. Mało jest ludzi, którzy by nie chcieli wcale pracować, ale trzeba im dać zamiłowanie przez pojęcie owoców pracy nie tylko materyalnych ale i moralnych — godności, jaką przynosi wszelka praca użyteczna.

Niech już dziewczynka otrzymuje w tym wieku, który bierze odcisk wrażeń wszelkich, takie rzeczy pojęcie a nie będzie uważała pracy za smutną pańszczyznę życia. Aby przecież zamiłować ją mogła, trzeba, aby brała w niej udział, i szczególnie z tego to względu powstaje autor na wychowanie dziewczęcia w pensjonacie i chce, żąda usilnie od matek, aby córki ich były jedynie przychodniemi, a szkoła da wtedy naukę, obok której usuniętym przecież nie będzie wpływ matki. Według wszelkich praw moralnych kobieta wychowywać się powinna, o ile można, w rodzinie, aby nauczyła się w niej żyć, aby nauczyła się w niej pracować; należy jej przecież być wykształconą umysłowo, pojmującą świat i ludzi w ich celach, w ich dążeniach, bo trzeba, aby mąż znalazł w żonie takiego przyjaciela, z którym mógłby się podzielić zamiarami, pragnieniami swemi — który mógłby mu dać radę dobrą w chwilach niepewności i wahania się smutnego, co mu czynić trzeba? Wiemy czem była dla synów swoich matka Grachów a okoliczności życia tak dziś, jak wtedy są pod tym względem niezmiennione: mężczyzna, tak mąż, jak syn, potrzebuje nieraz w trudnych chwilach życia rady, przez którą kobieta staje mu do pomocy — ukazuje szlak życia podniosłe wodzący.

Więc wymagać należy od kobiety, aby nie tylko seree, ale i umysł jej, mógł wywierać wpływ, mógł oddziaływać na życie rodziny, i dlatego też, pomijając nawet prawa jej własnego ducha, potrzeba aby była wykształconą, aby wiedziała „co duch wieku chowa w głębi.“ Jeżeli przecież umysł jej, jak się to dzieje nieraz i z mężczyzną, nie okaże się zdolnym do obejmowania wyższych horyzontów życia, niech się ograniczy do tego, na co ją stać, niech będzie przecież do obowiązków swoich tak uczciwie przywiązana, aby usiłowała je spełniać jak może najlepiej, a dość już tego dla szczęścia i moralnych wpływów rodziny. Mimo niższości swojej umysłowej stanie się ona wtedy sto razy wyższą od tej, która, według przysłówia, umie liczyć gwiazdy na niebie a nie potrafi się przejąć moralną siłą uczucia powinności. Małżonka i matka przez same uczucie miłości dla męża i dzieci już się do spełnienia obowiązków swoich nakłaniać powinna, trzeba jej tylko mieć obowiązków tych jasne wyobrażenie.

Należy do nich uważne, staranne badanie charakteru dzieci, bo wtedy tylko matka potrafi się z jednej strony przystosować do ich pożądań, do ich objawiających się skłonności, występując z drugiej przeciwko temu, co jest szkodliwym, co może zniżyć moralną skalę uczuć i porywów szlachetnych. To, co nazywamy zaślepieniem miłości, nie dowodzi bynajmniej miłości tego stopnia wyższego: jest tu tylko brak tej siły moralnej, która by do walki ze złem stanęła. Przemyka się wtedy oczy, zawiązuje się je sobie, aby przez prawdę smutną serca sobie nie ranić, i jest to słabość najmocniej karygodna, bo poświęca się wtedy duszę drogiej nam niby istoty, jej przyszłość, dla zadowolenia słabości serca swego. „Kto chce kochać, cierpieć musi“ — woła poeta i o wszelkie dobro nasze ścierać nam się trzeba z mnóstwem sił wrogich. Rodzice słabi nie wzbudzają zapłaty

większego przywiązania w sercach dzieci swoich, bo dzieci te, dorosłszy, poznają, co w wychowaniu ich wadliwym, złem było, i filozoficznie prawdziwą jest ta nasza bajka ludowa, w której dziewczyna do piekła skazana wyrzuca matkę: dlaczego jej pozwoiliła zwrócić się w życia złą stronę?..

Wychowanie oparte na podstawie tej szlachetnej chęci, aby istota wychowywana mogła rozwinąć w sobie wszystkie wrodzone dary natury, przymioty i zdolności swoje, musi być tak prowadzonym, aby dziecko obok miłości czuło głęboki dla rodziców szacunek — wierzyło we wszystko, co mu się dostaje od rodziców jako nakaz moralny, jako rada i przestroga dobra. Rodzicom godzi się pragnąć, aby dzieci ich były w życiu szczęśliwymi, aby zajmowały wśród spraw tego życia stanowisko niepoślednie, ale trzeba im dać dla tego właśnie pojęcie: co jest dostojnością prawdziwą? Autor nie myli się w zdaniu swoim, że przedewszystkiem kobieta powinna być wychowywana do przyrodzonych jej obowiązków — obowiązków w rodzinie. Nie przeciwstawia się to bynajmniej wyższemu jej wykształceniu; ale nie jest on zwolennikiem jej studyów uniwersyteckich, dowodząc nie bez podstawy, że tak kształcona kobieta zbyt długo musi być oderwaną od rodziny i wpływów jej na życie, prac z rodziną tą związanych. Naukę języków uważa za mało potrzebną, nie biorąc snadź w rachunek tego wyższego rozwoju umysłu, jaki się łączy z rozszerzoną wiedzą literatur obcych.

Krytyka systemu nauczania we Francji mniej interesuje naszego czytelnika, ale to, co Regnal pisze ogólnie w tym przedmiocie jako wpływie na życie, godne jest rozważenia matek, rodziców w ogóle, a do bardzo ważnych należą uwagi co do czytania.

— Co matka może pozwolić czytać córce swej młodej? — zapytuje i odpowiada sobie zaraz, że wszystko co ucziwa kobieta może a nawet powinna, wiedzieć wśród spraw życia, ale nie z tego, co trzeba aby kryło się dla niej pod zasłoną tajemnicy. Nie widzą pewnych stosunków życia, ale sposób ich przedstawienia działa źle na wyobraźnię, dodaje autor z tym komentarzem, że pod żadnym względem nie ma bynajmniej potrzeby, a nawet nie należy, przedstawiać młodemu dziewczęciu obrazów złych namiętności, pojęć spaczonych, choćby tylko dla tego, że wrażenia te rzucają na myśl młodą cień czarny. Zdaniem Regnal'a nawet dojrzała kobieta wiele traci na takiego rodzaju lekturze, i może, a nawet powinna wstydzić się, skoro ktoś zobaczy w jej ręku książkę taką. Myśli jej zbrudziły się cieniem, który tu padł na nie, przebywała duchem wśród złego towarzystwa i wszystko to, co w skutkach swoich jest rzeczy tych stroną moralnie ujemną, tu się odnosi w całości zupełnej.

„Są to szkoły przewrotności“ i nie tu rzeczy nie zmienia w jakiej formie będą podawane czytelnikowi, a nawet wtedy, gdy forma surową jest i realną w przedstawieniu rzeczy, staje się mniej szkodliwą, niż wtedy, skoro ukazuje obrazy namiętności niskich w półcieniu estetycznym. Zola jest zdaniem Regnal'a mniej szkodliwym, niż Sand.

Intelektualna edukacja młodego dziewczęcia powinna też gruntować się na uszanowaniu czystości jej dziewczęcej, bo dlaczego odbierać jej tak wcześnie wiarę w szlachetne strony tego, co jest ideałem życia każdej kobiety: dlaczego rzucać na jej wyobraźnię cień czarny? Wyobraźnia to wielka siła, przysłowie: że przez wyobraźnię można zajechać na koronację, bynajmniej mylnem nie jest, bo przebywamy moralną naszą istotą tam, gdzie nas skrzydła wyobraźni unoszą i to uczucie osobistej godności człowieka, która jest w nim ducha szlachetną dumą, obniża się mimowoli, gdy ludzkość ukazuje mu się w poziomych obrazach upadków niskich. To, co zowieśmy honorem, powinno być rozwiniętem zarówno w kobiecie jak w mężczyźnie, a Regnal rozumie przez to uszanowanie prawdy, uszanowanie danego słowa i godności osobistej, obowiązku. „Honor — pisze — jest to poczucie czystości moralnej. Jak kładziemy rękawiczki, aby uchronić ręce nasze od zetknięcia się z rozmaitemi przedmiotami, któreby je zbrukać mogły, tak należy nam rozwinąć w sobie wstręt do ocierania się o lada jakie towarzystwo

i honor, tak pojęty przez uczucie szlachetne, nieści w sobie wzniosłą tę dumę, przez którą kobieta staje się małżonką wierną, strażniczką mężną domowego ogniska—człowiekiem uczciwym.“

Miłość rodzinnego swego kęta mieści Regnal w rzędzie pierwszych obowiązków kobiety, zaraz po obowiązkach względem Boga; każe jej też uczucie to w sobie nosić, jak wiarę i nadzieję teologiczną i nie chce przystać na stopień jego chłodny. Duma szlachetna tak powinna tkwić w kobiecie, jak w mężczyźnie i dla tego-to godzi jej się rozwijać w sobie wszystkie te uczucia, które towarzyszy jej życia w piersiach nosi, a wtedy tylko równą mu ona będzie w dostojności moralnej. Ale nie wolno jej tu zbywać rzeczy pozorem; prawda serca jest w czynie i ta, która nie przykładą tu ręki do dobrobytu ogólnego—nie podnosi poziomu uczuć szlachetnych i pojęć obowiązku wzniosłych, nie ma w piersiach tego uczucia. „J'aime les passionnés!“ woła Regnal i rozszerza to pojęcie do obowiązku, o którym traktuje, a zarazem przemawia za uczuciem, które zowiemy dumą, a które nie łączy się bynajmniej z pychą.

Duma szlachetna opiera się na godności naszej osobistej, nie pozwala więc poniżyć się nam dla korzyści związków materyalnych, wytwarza też energią, przez którą człowiek przykładą rękę do czynów wzniosłych, szuka prawdy i sprawiedliwości, a skoro łączy się z tem poczucie obowiązku, życie ma przez to podstawę gruntu mocnego i spełnianie obowiązku gorliwe, nigdy niesłabnące, nazywa autor dyplomem szlachectwa duszy i woła też: „Szczęśliwi są ci, którzy wiedzą gdzie jest ich powinność i umieją być jej prawom posłuszni! Nieszczęście—to niewiedomość tego, co jest powinnością!“

Uczucie sprawiedliwości przynosi człowiek na świat ze sobą, przecież zagubia się ono prędko i łatwo zwłaszcza w kobiecie, nie dlatego, aby sprawiedliwą być nie chciała, ale, że tkliwość, dobroć jej wrodzona nie daje jej często spełniać tej cnoty tak ściśle, jak należy, co przecież staje się tu nieraz brakiem moralnym i szkoda wielką. Prawda i sprawiedliwość powinny panować wśród ludzkości, i autor dowodzi, że ta miękkość, która nie umie oburzyć się na złe, jest niemocą ducha, jest brakiem zapалу w ukochaniu dobra; wobec takiej dobroci nie zdoła też kobieta ustrzedz siebie i rodziny od zarazy moralnej, i dobroć prawdziwa słabość takiej nie ma, bo rozum odzywa się tu przecież z przestroga, jakie są skutki pobłażliwości, która rodzi złe i zatrzuwa nią życie ludzkie.

Najłitościwszym człowiekiem jest ten, który właśnie przez miłość bliźniego umie być silnym tam, gdzie chodzi o dobro ogólne, i rodziców, matki zwłaszcza, trzeba by oskarżyć o brak prawdziwego uczucia dla dzieci swoich, gdyby nie to, że istnieje tu zaślepienie, które przecież, jak wszystko, co prawdę ruguje, niesie za sobą złe i nieszczęście. Matka powinna też uzbroić się w pancierz, nie tylko rozumu, ale i uczucia miłości prawdziwej, aby zdołała podnieść się tu ponad zaślepienie owe, które prawdę usuwa. Zaślepienie to, szkodliwe najpierw w wychowaniu, staje się równie zgubnem w tej epoce życia, gdy dorosła panna uczuwa już żywsze bicie serca w piersi, gdy należy jej kochać i być kochaną. Wychowana w pieszczotach, w wygodach i przyjemnościach, jakie można zdobyć tylko za pośrednictwem majątku, nieprzystosowana do pracy, mniej się kieruje w wyborze męża uczuciem, niż względami majątkowymi, i strąca sama siebie w tę przepaść okrutną, którą jest życie bez miłości, a dodać trzeba jeszcze, że popełnia zarazem grzech pociągnięcia tam za sobą człowieka, który ją wybrał na ukochaną życia swego towarzyszkę.

Niekiedy jest to smutnej konieczności skutkiem. Ta strojna, ta wychowana w wygodach dobrobytu, jaki dać może tylko pieniądź, idzie za mąż z bólem serca dlatego jedynie, aby nie zostać samotną wśród świata, i może wołałaby z ukochanym byt najskromniejszy, niż dostatki z obojętnym jej człowiekiem; ale konsekwencja to jest okrutna przyczyna, które stawały między nią a szczęściem. Matka jest tu głównie winna—matka z fałszywego punktu patrząca na życie, i na

niej to zacięży grzechem bez rozgrzeszenia wszystko to, co w życiu jej córki będzie niedostatkiem szczęścia, a może i winą, bo prawdę mówi piosenka, że bez miłości trudno jest żyć...

Nawet już starość kobiety, która kochała i była przez miłość szczęśliwą, inną jest niż wydziedziczona z tego raju ziemskiego, która nie zaznała nigdy tych słodkich wzruszeń serca, i autor kreśli też wdzięczny obraz starości spokojnie zadowolonej i cicho, łagodnie schylającej się do grobu, który przecież nie zabierze jej ludziom w całości. Pozostanie wspomnienie, które będzie dla jednych radą dobrą, dla drugich przestroga.

M. I.

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDE GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg).

III.

Bielowski zastał Stanisława, walczącego jeszcze z groźnem niebezpieczeństwem.

— Zapalenie mózgu z bardzo wątpliwym rezultatem — odpowiedział mu doktor na pytanie. — Prosiłbym o zawezwanie kolegów... Może wspólnie coś uradzimy.

Bielowski w parę godzin potem czterech najmędrzych synów Eskulapa zgromadził przy łóżku chorego. Radzili, kiwali głowami, wreszcie jeden z nich, wiekiem i stanowiskiem przewyższający innych, wydał dolną wargę, przymrużył oczy i rzekł, że liczą jedynie na młode siły chorego, bo oni ze swej strony nie już dodać do kuracji przepisanej przez stałego lekarza Kamienieckiego nie mogą.

Równało się to prawie wyrokowi śmierci, i tak też zrozumiał to Bielowski.

Lila w najefektowniejszych neglizach, z minkami do okoliczności zastosowanymi, załamywała białe ręce, bolejąca i chora, o czem nie omieszkala mówić każdemu.

Lekarz, dozorujący prawie bez przerwy pacjenta, który, według jego mniemania, jako bogaty hrabia polski, miał możność opłacenia sobie trudów chciwego Włocha, odrywany był co chwila niemal do pani, to rzucającej się w spazmach i nerwowych drganiach, to leżącej w pół omdleniu, ślicznej jak obrazek i tak ponętnej, że mimo woli ręce młodego doktora drżały, dotykając jej pulsu, a oczy, palące się fosforycznym blaskiem, od pięknej twarzy oderwać się nie mogły.

Lila, gdy się tego bynajmniej nie spodziewała, otwierała z wolna oczy i uśmiechała się leciutko. Pochlebiali jej namiętne spojrzenie Włocha, w którym czytała zachwyt... Myśl o chorym daleką była wtedy od nich obojga.

Poza tem bywały chwile, w których Lila żałowała męża. O możliwej jego śmierci myślała z rodzajem wstrętu i głuchego żalu. Jak on mógł, teraz właśnie, kiedy pobyt we Włoszech, sprzyjał widocznie rozwojowi jej piękności, kiedy blada dotąd cera zabarwiła się ślicznym rumieńcem, a zachwyt, jaki wywoływała swoją urodą, potęgował się z dniem każdym—jak mógł, w sezonie wyjątkowo ożywionym i urozmaiconym, zachorować i narażać ją na tyle nieprzyjemnych rzeczy!

— Doktorze, czy mój mąż, wyzdrowieje rychło? — pytała po kilkanaście razy dziennie, z minką żalosną—powiedz mi prawdę.

— Nie wiem, signora, — odpowiadał Włoch stłumionym głosem. — Jestem tylko lekarzem i nie posiadam władzy walenia z siłą wyższą, która wypadkami kieruje...

Piękna pani z grymasem krzywiła usteczka i pochylała się ku mężowi, patrzącemu na nią szklanemi oczyma, w których już myśl zagasła.

— Jakiż on teraz brzydki! — wybiegało z ust jej mimowolnie. — Głowa ogolona. Jakże się zmienił!...

Wstrząsała się i kończyło się zawsze na nerwowym ataku i surowym zakazie lekarza, aby pani nie wpuszczać do pokoju chorego.

Dozorczyńni, stara, pocziwa jakaś Włoszka, czuwała dniami i nocą, cicho a zręcznie, zmieniając okłady, podając lekarstwa i uspakajając Stanisława, który zrywał się, krzyczał i nie poznawał nikogo.

Oprócz lekarza i dozorczyńni spędzał jeszcze znaczną część dnia w pokoju Kamienieckiego ktoś, o kim prawie nie wiadomo i nie zwracano nań uwagi. Mała Wandzia, wsunięta w najciemniejszy kątek, blada i zmieniona do niepoznania, siedziała cichutko, bez ruchu, godzinami całemi wpatrując się w twarz ojca. Te wielkie, ciemne oczy mieściły w sobie otchłań smutku, pobladłe usta zaciskały się boleśnie, aż stara dozorczyńni, patrząc na nią, łzy miała w oczach.

— Niech signor każe odejść ztąd małej!... — mówiła do lekarza. — Ona bardzo cierpi...

Lekarz wzruszył ramionami.

— Probowałem już — rzekł — ale napróżno! Więcej-by cierpiała, gdyby ją oddalił od ojca.

Wlano dziecku czasem, prawie gwałtem, wina lub rosół, zjadła jakiś biszkopik — i żyło tak maleństwo z dnia na dzień, z tym okropnym widokiem cierpień ukochanego ojca — widokiem, który miał już na zawsze zatruć smutkiem wrażliwą duszę i serce gorzyczą napęlić.

Lorecia w pierwszych dniach choroby wkradała się też często, zobaczyć ojca, ale ciemny pokój straszyl ją, krzyki chorego przerażały — i uciekała, rada kapać się w jaskrawych promieniach słońca i bujać po ogrodzie do woli. Tylko, ilekroć brała ją chętka pojechać z „miss Alicją“ nad morze, słowo dane ojcu wstrzymywało ją, i niebezpieczną chętkę zwalczyła zawsze.

Matka nie lubiła Wandzi. Brylantowa wesołość i niepokonana żywiość Loreci, przypadła jej więcej do serca, niż smętna powaga młodszej córki.

— Wanda mruk, Wanda do niczego... — powtarzała zwykle mężowi, gdy rozmawiali o dzieciach. — Nie będzie miała szczęścia z pewnością. Lora ją zakasuje...

Ojciec nie odpowiadał; czuł atoli dziwną błogość, gdy przypominał sobie oczy dziecka pojętne, myślące, słodkie a stanowcze. Pociągała go i radowała zarazem siłą, jaka w spojrzeniu dziecka ujawniała się aż nadto widocznie.

— Nie lękaj się o Wandzię, najdroższa — odpowiadał żonie. — Jest poważną nad wiek, przyznaję, ale mam nadzieję, że jej to w życiu nie zaszkodzi. Powaga jej jest tego rodzaju, że nie wyłącza bynajmniej wesołości dziecinnej, jak to mylnie zauważyłaś. Jest tylko mniej hałaśliwą, niżeli Lorecia.

— O, wiem przecież o tem, że Wanda jest twoją faworytką — krzywiła się Lila. — Dlatego widzisz w niej to, czego nie dostrzegają inni... Jest wprost nieznośną z temi poważnemi minami — starej sensatki.

Stanisław wzruszył ramionami i przerwał rozmowę. Lila niechęć swą dla Wandzi, akcentowała potem silniej jeszcze.

Teraz, spotykając ją ustawicznie w pokoju ojca, gromiła surowo smutną dziewczeczkę i rozkazywała usunąć się, ale jednocześnie zajęło ją tysiące innych przedmiotów, i zapominała o Wandzi.

Przyjazd nieznanego dziadka, z kraju, który w zimie obleka się w białą puszystą szatę, jak to nieraz ojezulek opowiadał dzieciom i gdzie mieszka babunia ukochana, choć dotąd tylko z fotografii ją znały, przejął rozkoszą serce Wandzi.

— Ojczuś pewno teraz wyzdrowieje — szeptała do siebie, — Dziadzio sprowadził tylu panów, każdy się ojczulkowi przygląda, może co pomogą. — Patrzyła na Bielowskiego rozszerzonymi niespokojną ciekawością oczyma, gdy się uwijał przy łóżku chorego, ścisnął „czarnych“ panów za ręce i prosił o coś, bardzo prosił... Oczywiście: o tatusia.

Ani wiedział dziadek, jaką gorącą miłość, graniczącą z uwielbieniem, wzbudził w serduszkach ciotecznej wnuczki.

I on ją szczerze pokochał; brał ją często na kolana, pocieszał, że ojezulek wyzdrowieje wkrótce, a ilekroć było gorzej, łączył swoje modły z żarliwą modlitwą dziecka. „Lalkę” jak w myśli nazywał zwykle Lile, usuwał z pokoju chorego, pod pozorem troskliwości o jej delikatne zdrowie — a w istocie znieść nie mógł jej widoku. Niechęć tę żywił jeszcze dla pięknej panny Rumszańskiej, a gdy Kamieniecką została, gdy się dowiedział, jak okrutnie zabierała matce całą pociechę, jaką byłyby dla niej wnuczki i syn jedyny, gdyby ich miała przy sobie, niechęć zmieniła się w nienawiść i wstręt, którego stary pokonać nie mógł.

Po kilkunastu dniach naprężonego oczekiwania lekarze zrobili nadzieję, że chory wyzdrowieje, jakkolwiek długo, długo, rekonwalescentem pozostać musi. Siły wracały wprawdzie, ale umysł dziwnie był zmęczony.

Stanisław leżał całymi dniami bez ruchu, wpatrzony w punkt jeden, osłupiały i nadmiernie rozszerzoną źrenicą, jak gdyby usiłował czegoś dobiec, coś sobie przypomnieć czy zobaczyć. Na pytania nie odpowiadał, otaczających traktował tak, jakby ich nie widział przy sobie.

Lila łamała ręce, zamęczając lekarzy pytaniami; Bielowski chodził jak struty.

— Powiedzieć mi, panowie, otwarcie, co taki stan znaczy? — pytał z niepokojem. — Choroba minęła szczęśliwie, siły się poprawiają... tylko ta nieszczęśliwa apatya, która mnie trwoży... Co to jest?

Lekarze wzruszali ramionami, kładli mu w uszy jakieś łacińskie nazwy, chodzili, radzili — na próżno!

— Gdy więcej sił nabierze, trzeba go przewieźć gdzieś indziej... — zdecydowali wreszcie. — Zmiana miejsca, widok nowych twarzy zaciekawią go może.

To było dostateczne dla Bielowskiego. Pewnego wieczora wybrał się na nieuniknioną rozmowę z Lilą.

Była właśnie w swoim budoarze i przeglądała ciekawie świeżą pocztę i żurnale.

Oswoiła się już nieco z chorobą męża i zaczęła do dawnych nawyków powracać.

D'Allano dwa razy dziennie przyjeżdżał sam dowiadywać się o zdrowie Kamienieckiego. Odjeżdżał, oczywiście, nie widząc Lili i kontentując się jedynie buletynami p. Elizy.

Skoro niebezpieczeństwo minęło o tyle, że nie było już obawy śmierci, p. Stanisławowa uznała, że może już przyjmować wizyty. Trzeba było pomyśleć nad toaletami, które do smutnych okoliczności zastosować należało. Bielowski trafił tedy jak nie można gorzej. Przerwał miłe zajęcie, i leciutki marsik na białym czole dał mu to poznać; postanowił jednak nie odkładać rozmowy.

— Chciałbym pomówić z panią — rzekł bez wstępu, siadając obok Lili. — Powrót do zdrowia Stanisława wymagać będzie od pani pewnych ofiar. Rozmawiałem z lekarzami; twierdzą, że chorego co rychlej wywieźć ztąd należy. Zmiana miejsca może go wyrwie z tej dziwnej apaty, która, jak słusznie się lękają, przerodzić się może w melancholię nieuleczalną. Trzeba gwałtownie o wyjeździe pomyśleć...

Lila zerwała się z krzesła.

— Co? pan żartuje chyba? Teraz mamy ztąd wyjeżdżać? Willa wynajęta na rok cały, ledwośmy się urządzili... Zresztą, zdrowie moje znakomicie zaczęło się tu poprawiać... Byłby to nonsens, w szerokim tego słowa znaczeniu. Nie należy znów tak bardzo na zdaniu lekarzy polegać. Gdzież szukać piękniejszego klimatu i odpowiedniejszej miejscowości dla rekonwalescenta? Zamilkła oburzona.

— Ma pani słusność zupełną — odparł Bielowski cierpliwie. — Tu wszakże kwestya cała jest innej natury. Mąż pani kocha matkę, kocha lud i ziemię, na której się urodził, tęskni do swoich wiejskich zajęć i nawyków, i dlatego zmiana byłaby dla niego nietylko pożądaną — ale i konieczną. Bezczyenne a pełne nieznosnych trudów koczowanie życie, jakie prowadziliście państwo od lat ośmiu, zużyło go niesłychanie. Wszakże to

łatwo pojąć. Pani lubi gwar, zabawy i podróże, a ten rodzaj życia odpowiedniego gustom pani, sprzyja i zdrowiu i piękności, dając zupełne zadowolenie. Inna rzecz ze Stanisławem. Osiem lat spędzonych zagranicą dały mu się dobrze we znaki, i dlatego, jako rekompensatę, winnaś mu pani darować choćby lat kilka w Kamieńcach. Obecność matki, którą bardzo kocha, jej troskliwe starania, powietrze rodzinnych pól — z pewnością spowodują zmianę w ponurem jego usposobieniu, i na to właśnie liczą lekarze. Pani zanadto kochaś męża, abyś się sprzeciwiała; wiem o tem.

Wzburzenie Lili doszło do kulminacyjnego punktu. Wyrzucił za drzwi tego starego moralistę byłoby dla niej rozkoszą.

— Łaskawy panie — rzekła, hamując się. — Przyznaję panu rację — ale dziwię się, że mając męża mego na celu, zapominasz o dzieciach i o mnie; nadmieniam także, iż całą grę pańską rozumiem dostatecznie. Działasz pan w imieniu matki Stasia, któraby rada trzymać syna przy sobie i prowadzić go na pasku. Ja, naturalnie, jestem zawadą, bo dopomagam mu wydstać się z powijków, i bynajmniej się tego nie zapieram. Bielowski zaczerwienił się z oburzenia.

— Co pani mówi?... — rzekł. — Czy istotnie patrzysz pani na rzeczy z punktu swoich przywidzeń, niemających najmniejszej podstawy? Daruj pani, ale jestem oburzony i — obrażony nawet. Matkę Stanisława szanuję, uwielbiam za jej ciche cnoty i zaparcie się siebie, a tymczasem pani opowiadasz mi takie rzeczy.

— Wiem co mówię — odparła z uporem.

— Ależ fakta, fakta, szanowna pani! Czyż same za siebie nie mówią? Osiem lat upłynęło, jak ta opuszczona matka pracuje dla was, pozabawiona nawet tej pociechy, by ukochanego syna i wnuczęta miała przy sobie. Zecheć pani zastanowić się nad tem poważnie: a pewien jestem, że słusność przyznać mi raczysz.

Lila, blada z gniewu, z zacziśniętymi wargami, stanęła przed Bielowskim.

— Kto pana upoważnił do mieszania się w nasze osobiste sprawy? — spytała. — Ani mąż mój, ani ja, nie jesteśmy dziećmi, abyśmy morałów pańskich słuchać potrzebowali. Mieszkamy tam, gdzie nam się podoba; i racz pan zanotować to sobie w pamięci, że insynuacje pańskie i niechęć matki dla mnie, na nie się wam nie przydadzą. Zrobię, jak zechcę, i nikomu z tego, co robię, tłómaczyć się nie myślę. Męża mego leczyć będę we Włoszech. Jeżeli idzie o zmianę miejsca, wywiozę go do Rzymu na czas jakiś. Mam nadzieję, że mnie, jako żonie, służy prawo zajmowania się nim przed wszystkimi.

— Nikt pani tego prawa nie śmiałyby zaprzeczać — odpowiedział przygnębiony i zirytowany Bielowski. — Pytałaś mnie pani: kto mi upoważnił do mieszania się w wasze osobiste sprawy? czy zapomniałaś o swojej depeszy? Wszak donosiłaś pani o niebezpiecznej chorobie Stanisława i prosiłaś o pieniądze... Pani Kamieniecka wiadomość tę przypłaciła chorobą, ja zaś, jako jedyny najbliższy krewny, zając się interesami musiałem. Zarzut więc pani jest dla mnie bardzo bolesny i upokarzający. Nie spodziewałem się go usłyszeć...

— To już pańska wina — odparła Lila. — Zanadto energicznie wystąpiłeś pan w roli opiekuna. Wdzięczna jestem, żeś przyjechał i trudził się dla nas, ale poza tem wszelkie starania pańskie będą bezowocne. Kocham mego męża i wiem najlepiej czego mu potrzeba. Trochę czasu, trochę więcej sił, a zniknie i ta melancholia, która was tak przeraża. Pomówię sama z lekarzami. Z pewnością nie pożałuję trudu, gdy o zdrowie męża chodzi.

Zrobiła słodką minę; Bielowski zaś wrzał gniewem i ledwo się hamował.

— Rób pani, jak ci serce dyktuje — rzekł chłodno. — Zobaczymy: jaki będzie rezultat. Zostanę tu jeszcze parę tygodni, jeżeli pani pozwoli, bo lękałbym się odjechać teraz...

— I owszem — odparła cierpko Lila. — Pobyt tu jest tak przyjemny... Dziś właśnie list od babci otrzymałam. Przyjeżdża do nas wkrótce i stale już zamieszka. Będzie państwu niezbyt wygodnie,

trochę zaciąsno, ale mam nadzieję, że wybaczyście łaskawie.

Bielowski udał, że nie rozumie intencji pięknej pani.

— Więc p. Dolewska przyjeżdża? — pyta niemiłe dotknięty. — Że też zgodziła się mieszkać razem... Zawsze to kłopotliwa...

— Bynajmniej! — odparła Lila, uśmiechając się. — Będzie mi nawet pomocą. Dzieci, zwłaszcza dziewczynki, potrzebują ciągłej i starannej opieki. Oddaliłam niedawno bonę... tak trudno dostać coś dobrego. Babcia ma teraz przywieźć z Paryża inną; odpocznę nieco...

Położyła rękę na czole, udając zmęczoną; Bielowski się podniósł.

— Nie będę pani przeszkadzał — rzekł, kłaniając się. — Pozwoli pani, że zabiorę panienki i pojedziemy na spacer. Obiecałem im pokazać niekóre osobliwości...

— Nie mam nic przeciwko temu — odparła szybko, pragnąc pozbyć go się jaknajprędzej.

Wyszedł. Lila zaczęła szybko przebiegać pokój.

— Chcieli skorzystać z choroby Stasia i wziąć mię w kuratelę... — mówiła do siebie. — Nie z tego! Ja bym miała wracać teraz do kraju, pod opiekę skrzydła matki?... O nie!... Jakie szczęście, że babcia przyjeżdża... Będziemy się broniły. Ach, gdyby Staś już wyzdrowiał... Dom wygląda jak szpital, br!... Ciekawam: czy książę dziś przyjedzie... Jeżeli Stasiowi będzie lepiej, stanowczo jutro przyjmę księcia...

Utonęła cała w paryzkich ilustracjach, zapominając o chorym mężu, dzieciach; i nawet książę ustąpić musiał wobec rysunków przepięknych sukni, szlafroczków i kapeluszy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

List z Anglii

Kto by nie znał Anglii w jej dziejach, w kierunkach jej cywilizacji, i zawitał obecnie do Londynu, wyobraziłby sobie, że ludzie bawią się tutaj, jak nigdzie na świecie, bo miewamy tu bal za bal i tak zwane *garden party*, to jest zebrania proszone w ogrodach arystokracji, starych jak ich pałace, i przy kunsztownej iluminacji przedstawia to oku widok rzadko gdzie spotykany. Bal dworski w ogrodach pałacu Buckingham, który zyskał sobie nazwę biało-różowego z powodu nieprzeliczonego mnóstwa róż i hortensyi, był przy pysznej iluminacji jakoby dziełem czarodzieja, a w teatrze Covent Garden miewaliśmy prawdziwe biesiady muzyczne. Obaj Reszkowie zachwycali tu ludzi w „Romeo i Julii”, „Lohengrinie”, co już jest jakoby stałym ich przywilejem; nowa opera Massenet, napisana na zamówienie teatru Covent-Garden, nie przypadła tak ludziom do smaku, jakkolwiek posiada wiele ceunych piękności a samo jej tło już przywabiać mogło publiczność, bo treść zaczerpnięta jest z hiszpańskiej wojny domowej a dekoracje są wspaniale piękne i przedstawiają świat stosunkowo tu nowy.

Królowa Wiktoria jest zawsze wielką amatorką muzyki scenicznej, a że w jej wieku już wszystko, co jest ruchem, utrudza, więc urządzono w zamku Windsorskim teatr, na którym grano niedawno nową operę angielskiego kompozytora, należącego do wysokich sfer szlacheckich, sir Augusta Harris. Opera była zamówioną do teatru Wielkiej Opery, ale na żądanie królowej rzecz się zmieniła, na czym zyskał młody maëstro Bamberg, którego opera mająca za tło epizod, wzięty z poematu Tennysona „Śmierć Artura” dostała się tym sposobem na scenę, a śpiewają też w niej Reszkowie. Jest to dzieło wyższego natchnienia, więc zapewne dostanie się na sceny i innych stolic i może usłyszycie ją też z kolei.

Doroczne otwarcie wystawy malarstwa i rzeźby, sto trzydzieste szóste w kolei czasu, było, jak zaw-

sze uroczystem świętem sztuki. W wigilię otwarcia dopuszczone są do oglądania wystawy tylko osoby zaproszone, co zwie się tutaj „Private view”, poczem goście zasiadają do wspaniałego bankietu, na którym znajdował się, jak zwykle, książę Walii, lord major, ciało dyplomatyczne i liczne grono najwybitniejszych osobistości. Że się tu je wtedy i pije, co Londyn może dostarczyć najlepszego, łatwo zgadnąć; ale drugostronnie nie bardzo się rzecz udała, żaden z mówców nie zaznaczył się jakimś słowem gorętszem, zdolnym przelać ogień własny w piersi słuchaczy. Było nadesłanych na tę wystawę wiele obrazów malarzy francuskich; więc książę Walii wypowiedział zgrabnie ułożony frazes o braterstwie ludzkości, a znajduje się tu kilka dzieł godnych uznania. Liczba portretów przeważała, razem mieści się 939 obrazów olejnych, 401 akwarelli, 224 rysunków architektonicznych i 101 rzeźb. Do najlepszych okazów wystawy zaliczyć należy płótno Stonhope Forbesa, przedstawiające wóz, napełniony kamieniami, a ciągniony przez cztery konie. Rosłe są, widzimy, że silne, że mogłyby wspierać się hardo i odmówić posłuszeństwa człowiekowi, ale spełniają to spokojnie jako dział pracy swojej i ta charakterystyka znakomicie jest przez malarza uwypakowana: powaga spokojna przy sile, która ulega powinności, czyni ten obraz dziełem sztuki wyższej.

Koncert Janotówny, z przeznaczeniem dochodu na utrzymanie kaplicy i plebana na najuboższej, przez najbiedniejszą, najciężiej pracującą ludność, głównie irlandzką, zamieszkałej dzielnicy Londynu, wschodniej, gdzie jest i niemająca liczba nasyżych—zgrupowała bardzo liczną i bardzo dystygowaną publiczność w wielkiej sali, zwanej królewską. Żesmy byli na nim wszyscy i tu jest, łatwo się domyślić, a do współudziału w koncercie stanął Edward Reszke, Śliwiński, Broniś Huberman, chóry zaś z kościoła Kapucynów na Farm Street odśpiewały bardzo piękny, bardzo poważny utwór Janotówny „Ave Maria,” dedykowany Ojcu Świętemu za specjalnem jego pozwoleniem.

W Anglii całej jest pod tym względem wielka staranność, aby nie brakowało nikomu tego chleba anielskiego, który karmi dusze. Że setki, tysiące ludzi przebywają tu na morzu, i pozbawione są przez to możności bywania w kościele, słyszenia słowa Bożego,—grono kapłanów, zwłaszcza z liczby tych, którzy jako misjonarze przekonali się jak człowiek dziecko, gdy zapomina, że jest ponad ziemią niebo, a w nim Bóg, powzięli zamiar urządzenia świątyni ruchomej: kościoła pływającego. Na wezwanie do ofiar w tym celu odpowiedziano bardzo hojnymi składkami, a jeden z bogatych przemysłowców, Edward Wallman, ofiarował jacht swój „Goshawk,” aby urządzona na nim świątynia mogła zaspakajać duchowe potrzeby ludzi pragnących wnieść się od czasu do czasu myślą do Nieba. Kościół pływający stanął też wkrótce ze składek hojnie nadsyłanych, znalazł się kapłan dobrej woli, misjonarz ze stowarzyszenia S-go Andrzeja, który został jego plebanem, i oto dom ten boży żegluguje po falach morskich i przybija od czasu do czasu do jakiegoś portu, gdzie odbywa nabożeństwo, ogłasza dzwonem potężnym dzwicznym. Koszt utrzymania obliczono na 1.000 funt. sterlingów rocznie, zbudowanie świątyni kosztowało 500 f., oprócz ofiary Wellmanna i oto rozlega się w przystaniach, lub na pełnym morzu, dźwięk dzwonów, wzywających ludzi do modlitwy.

Odbywają się tu nieraz śluby, nieraz matki przynoszą dzieci do chrztu, bo w ogóle cała ludność Wielkiej Brytanii we wszystkich swych wyznaniach jest bardzo religijną i obrządków nakazanych pilnie strzeże; przecież szczepu celtyckiego szczególnie się tem odznaczają. Dali one Anglii najwięcej poetów, jak to kiedyś pisałem wam wyszczególniałem, bo i Byron miał przez matkę krew szkocką w żyłach, a Walia, nieopuszczająca po-dziś-dzień celtyckiego narzecza ma jeszcze bardów swoich i, dodać można, druidów, bo kapłaństwem jest świętości pełnym ton stary ich pieśni. Trzy, czy cztery lata temu książę Walii zaprosił do Londynu ich zgroma-

dzenie, a chociaż przyjmowano ich tu bardzo uprzejmie, nie było im dobrze w tej gościnie, bo nie chcieli zrzucić narodowego swego ubioru i ich kołpaki ze wstęgami, ich poważne szaty luźne ściagały rzesze ciekawych, co drażniło ich nieprzyjemnie. To też tego roku książę Walii zjechał do nich na wiec bardów, uroczystość bardzo poetyczną, bo są to jakoby turnieje poezji i muzyki rodzimej.

Lemi Morris, gentlemen, jak się tu mówi, to jest człowiek wykształcony, pisuje często text do melodyi ich kompozycji, ale są i pomiędzy niemi poeci, pisarze ludowi. W bieżącym roku naczelnikiem bardów jest książę Walii, królem ich obrany został Józef Gareth, wieśniak prosty, którego poezye nie tylko liryczne są utworami bardzo szlachetnego natchnienia. Znajduje się w jego okolicy obszerny rozłóg, zarosły krzewami jałowcu, wśród których wznoszą się rozrzucone jodły i dęby stare, a których ani gałązki nikt tu nie ułamie, bo jest to legendowa, duchem przeszłości poświęcona, kraina. Dzieje tej miejscowości stały się treścią poematu, cyklu pieśni za które Gareth został ukoronowany czapką pewnej formy starożytnej, i przepasano go wstęgą błękitną, czego dokonała własnoręcznie księżna Walii, jakgdyby był rycerzem na turnieju, które odbywały się tu niegdyś w połączeniu z turniejem bardów.

Rycerz zapasów innego rodzaju, wódz Armii Zbawienia, Booth, a raczej generał Booth, jak się sam dumnie nazywa, puszcza się w dalekie strony, na nowe podboje jak głosi. Czy stanie się to według chęci jego?—to pytanie; szuka sobie przecież gruntu przychylniejszego dla jego planów niż Anglia, w której zaczyna mu być coraz to mniej dogodnie. Zrazu jego zręczne dekorowanie działań swoich wywierało wpływ pewien, który obecnie upada, upadł prawie, bo Anglik jest we wszystkim systematycznie porządnym i marszczy się surowo, gdy ktoś nie poda mu szczegółowego rachunku, zwłaszcza z grosza publicznego. Bogaty, powziął myśl przewiezienia i osiedlenia angielskich ubogich w Australii Zachodniej, co by było rzeczywiście dobrym uczynkiem, ale jego parady, jego czerwone huzary nie przypadły do smaku poważnemu z natury swej Anglikowi, i stąd obecnie zamiary jego znajdują bardzo słabe poparcie.

Jeden z oficerów armii indyjskiej odkrył w Indyach, w miejscowości Panii, telefon łączący ze sobą dwie świątynie indyjskie, a wedle badań jakie czyniono następnie, ma on dwa tysiące lat przeszło. Wprawdzie kasta uczonych w narodzie posiadającym najdawniejszą cywilizację, mogła takie zastosowania naukowe wydawać; że przecież trzymała je w tajemnicy, aby przedstawiać rzecz jako działanie cudowne, więc ogół nie o tem nie wiedział i żadne podanie nie mogło otworzyć pokoleniom następnym drogi do zdobytej przed wiekami wiedzy. Uczeń egiptologów dawno już trafili na ślad komunikacji między świątyniami z czasów bardzo odległych: odkryto ich łączność ze sobą za pośrednictwem drutów, ale aż do tego czasu nie można było twierdzić stanowczo jaki użytek z nich czyniono? Siły elektryczności nie były też bynajmniej tajemnicą dla Egipcjan kast uczonych. Nad świątynią w Denderah wznoszą się jeszcze obecnie wysokie kregi okute miedzią, wysokie od 15 do 20 sążni, a z napisów, jakie dziś jeszcze dają się odczytać uczonym starożytnikom, można twierdzić śmiało, że są to piorunochrony, z pośród których jeden miał ostrze pozłocane i człowiek dzisiejszy, tak dumny z cywilizacji, którą zdobył sobie, musi przecież wyznać, że wszystko to, co on za postęp nowożytny uważa, już było—że przed wiekami wieków umysł ludzki sięgał już do głębi tajemnic przyrody i zdobywał je.

To przecież jest czasów naszych dumą i zasługą, że nie trzymamy światła pod korcem, jak to wyraził się raz Gladstone w pięknej przemowie przy otwarciu szkoły ludowej na jednej z przedmieściowych ulic Londynu. „Światło dla wszystkich, to hasło wieku naszego!” zawołał, a było to wtedy jeszcze, gdy na oczy jego nie spadła okrutna za-

ślona ciemność, niedająca mu oglądać obrazów tego postępu, rozszerzającego swe światło bez ograniczeń, bez przywilejów... Zmarł tu właśnie człowiek dowodzący jakie wdzięczne owoce rodzi przystęp tego światła—listonosz wiejski i poeta, a oryginalna to i godna poznania postać.

Edward Capern, listonosz zamieszkały we wsi odległej od ruchu literackiego, więc sam z siebie—z natchnienia własnego, zdobywający sobie siłę twórczą, stał się przez poezye swoje, tak wdzięczne i melodyjne, poetą znanym w całym państwie Wielkiej Brytanii, bo nie krył się z niemi, tak jak się przez nie wynosił. Wędrując od wioski do wioski ze skórzaną torbą na plecach, układał sobie po drodze piosenki, ballady a nawet ody, gdy wspanialsze widoki natury podniecały jego natchnienie. A był i muzykalny, miał i w tym kierunku pewien talent twórczy; ale to były tylko akcesorya do przedmiotu głównego — poezji. Utwory swoje drukował bez żadnego fałszywego wstydu pod nazwiskiem własnym, które tak się stały znanymi w całym kraju jak on był szanowanym za swoją szlachetną godność osobistą. Jako poeta popularny, więc użyteczny społeczeństwu swemu pobierał od rządu roczną pensję, odpowiadającą summie 500 rs., a gdy zamknął oczy nie było w Anglii osoby takiej, która by nie odczuła tego zgonu, bo umiał przemawiać do serc ludzkich. Dzienniki podniosły już głos, że należy mu się jakiś znak uznania od ogółu, i mają mu wzniesć pomnik w jego wiosce rodzinnej, gdzie dwóch braci jego pracuje na roli.

August.

KOBIETY - POETKI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Odczyty wygłoszone w Sali Ratuszowej w d. 9-ym, 11-ym, 12-ym i 13-ym Marca, na rzecz Osad Rolnych).

(Dokończenie).

Lecz nawet geniusz, a tembardziej talent, nie przychodzi na świat gotowym ze wszystkimi swemi władzami, ze wszystkimi bogactwami i harmonią sił swoich. Władze jego rozwijają się prędzej, lub wolniej, ale rozwijać się muszą, a rozwój ten zależnym jest od bogactwa wrażeń zewnętrznych, które daje tylko szerokie doświadczenie życia. — Siły ducha w bezczynności martwieją, a w walce ze światem zewnętrznym, w ścieraniu się z jego zjawiskami różnorodnymi, kształcą się i wzmacniają. Doświadczenie życia tylko daje nam ten bezstronny obiektywny sąd o rzeczach, który tworzy dzieła prawdziwie doskonałe.

A teraz zapytajmy się: czy dotychczasowe wychowanie i życie kobiety, dozwoliło jej zużytkować i wykształcić bogatą jej naturę duchową? Nie można chyba na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Kto wie: czy nie w tem właśnie leży główna przyczyna, że kobiety-geniusza w twórczości ducha świat dotąd nie widział.

Jeżeli jednak przyjdziemy do przekonania, że w obecnym stanie rzeczy kobiecie brak tych skrzydeł, któreby ją wznosiły na wyżyny, gdzie geniusz przebywa, musimy przyznać, że do poziomu talentu łatwo podnieść się może i nawet natura jej jest do tego bardzo podatna. Zdolności poetyczne są bardzo częstym zjawiskiem w świecie niewieścim. Wybitnych talentów kobiecych mieliśmy i mamy nie dużo, ale może dla tego, że mają utrudnione warunki rozwoju. Ten rodzaj subiektywizmu niewieściego, który pierwej scharakteryzowałem, daje kobiecie wielką

skłonność i uzdolnienie do twórczości poetycznej.

Twórczość ta nosi w sobie wszystkie spoeczalne cechy natury niewieściej. Więc przedewszystkiem uczucie bierze w niej górę nad innymi władzami ducha. Oczyma tego uczucia spogląda kobieta na wszystko. Ztąd też i żądza poszukiwania prawdy, która ogrzewa zawsze pierś artysty, w podniosłych organizacjach poetycznych, jak Gabriela, rozplamiona w ogniu uczucia, waleczy gorączkowo z przeszkodami na drodze dociekań, a niekiedy z niemocą; brak jej cierpliwości, aby dojść do prawdy drogą powolnej pracy, lecz pragnie, aby się jej objawiła odrazu w całej swej jasności i potędze. Ztąd pochodzą chwile zniechęcenia, sceptycyzmu uczuciowego, ztąd brak tych powolnych, subtelnych często przejść duchowych, przez które wiele talentów męskich dąży wytrwale do zdobycia najwyższych tajemnic ducha i twórczości.

Ta wrażliwość kobiety nakazuje jej każdą prawdę zużytkować zaraz na materal zycia, według słów Gabrieli, jak płaszcem się nią owinać, zrobić sobie z niej wiekiste odzienie. Są wprawdzie inne, odmienne typy talentów niewieściej, odmienne temperamta twórcze, obdarzone umysłem bardziej dogmatycznym, niż krytycznym. Te znajdują sobie odrazu wiekiste odzienie ducha w dogmacie uznanym; w świetle tego dogmatu wszystkie zjawiska okiem pogodnym i zachwyconem oglądają. Ale są to talenta mniejsze, lub, jak Deotyma, wyjątkowe w swej organizacji duchowej.

W Gabrieli niezawodnie ta rozterka ducha kobiecego w walce o ideały życia najsilniej wystąpiła. Nadto widzimy w utworach tej poetki i wszystkie inne właściwości natury niewieściej, więc niezwykle wrażliwość uczucia, więc i subiektywizm. Co do tego ostatniego jednak trzeba zrobić pewne zastrzeżenie. Oto zmodyfikował go znacznie nadzwyczaj bogaty i kształtny temperament artystyczny, który to sprawił, że umiała wnieść się często na wyżyny bardziej przedmiotowego odczuwania zjawisk życia i tworzyć takie postacie, jak „Poganka,” lub „Marya-Regina.” W dalszym rozwoju duchowości, pod wpływem doświadczenia życia, poetka doszła do bardziej obiektywnego, już nawet chłodniejszego, poglądu na świat i ludzi, chociaż ten ostatni stan ducha, może po części dlatego, że nie był zgodny z naturalnem uspojeniem jej, a może dlatego, że przyszedł w późniejszej, chłodniejszej dobie życia, nie przysłał zupełnie do jej duszy, a więc, i odpowiedniego sobie arcydzieła stworzyć nie mógł.

Konopnicka trafiła na czasy lepsze dla twórczości, szersze przed sobą ujrzała widnokręgi, a jednak, dotychczas przynajmniej, ten sam prawie, co Gabriela, przeszła proces psychiczny i temi samemi, w znacznej części, właściwościami natury kobiecej twórczość swoją nacechowała. Większe atoli doświadczenie życia weźniej i skuteczniej na ewolucję jej duchowości oddziaływało. Do wyznu obiektywizmu nie wniosła się jeszcze, ale już się ku nim zbliża, a jak się daleko na skrzydłach swego talentu wzniesie, w obecnej chwili trudno jeszcze przesądzić. Teraz już jednak chyba stanowczo wierzyć można, że rozum tej poetki, niezwykle bystry, żywy, szybko nadzwyczaj różniący zjawiska życiowe, wyjdzie zwycięsko z platanu tych zjawisk i znajdzie w nich źródło wiekistej prawdy i piękna; że jej prawdziwie męzki entuzjazm nie osłabnie w pracy twórczej; że wiara w podniesłe posłannictwo i jasna świadomość celu dalej i dalej prowadzić ją będą.

Kobiety-poetki, tak u nas, jak i gdzieindziej, mają tę niespożyta zasługę, że wywalczyły dla sióstr swych prawo wolnego wstępu do krainy wiedzy. One żywym głosem ducha i przykładem owocnego życia swojego powiedziały światu: Kobieta ma prawo i ma siłę dostateczną, aby rozwijała władze ducha swego, aby myślała, czuła i tworzyła na równi z mężczyzną. A do czego w tej pracy ducha dojdzie, to już przyszłość okaże.

Jeszcze jedno, ostatnie słówko. Twórczy duch kobiety to żywy most, łączący tradycją z postępem. Ona nigdy nie pójdzie naprzód, nie

obejrzawszy się na drogę przebytą; ona więcej odradza, niż burzy; w niej, jak w matce, widzimy tradycją, jak w siostrze, ukochanie terażniejszości, jak w kochance i żonie—wiarę w przyszłość.

K O N I E C.

Letnie mieszkanie we Włoszech.

Zwyczaj spędzania letnich miesięcy zdala od miasta, który u nas, dzięki ułatwionym i ulepszonemu środkom komunikacji, wszedł w użycie dopiero w ostatnich dziesiątkach naszego stulecia, datuje się u Włochów od najdawniejszych czasów. Już u starożytnych Rzymian spotykamy go w pełnym rozkwicie.

Nietylko z samego Rzymu, ale i z innych miast Apenińskiego Półwyspu, zamożniejsi i przedniejsi mieszkańcy uważali omal za konieczne spędzanie pewnej części roku na wsi, a rozrzucone po całym kraju letnie mieszkania były tak liczne, że nawet Horacy z niepokojem o nich wspomina. „Nieza długo szeroko rozsiane letnie siedziby niewiele pozostawiają morgów dla pluga, a miasto urodzajnych oliwnych gajów, róże i fiolety rozpościerać będą woń swoją.”

Każda zamożniejsza rodzina miała własny dom na lato, a niektóre patrycyuszowskie rody posiadały ich kilka, w różnych okolicach kraju, aby, względnie do pory roku, z warunków klimatycznych korzystać.

Pod budowę owych letnich siedzib wybierano po większej części równiny. Kwitnące łąki, przerywane zabudowaniami polami, albo falowate linie szeregu drobnych pagórków, przedstawiały ogólny typ miejscowości zamieszkiwanych przez lato. — Przekładano wówczas naturę w jej spokojnych, uśmiechnionych obrazach; z przerażeniem prawdziwym i zgrozą wznoszono oczy na niebotyczne szczyty, lub spoglądano w nisko położone, tajemniczym cieniem okryte doliny.

Brzeg morski bywał także chętnie podczas lata nawiedzany; wybrzeże Zatoki Neapolitańskiej zasiane było wspaniałemi willami rzymskich wielkości. — Do jakiego zbytku i przepychu dochodziło urządzenie tych letnich pałaców, wskazują nam opisy Stacjusza, który wspomina o kilku willach w okolicach Sorrento położonych. Późniejszy od Stacjusza, Pliniusz opisuje szczegółowo skromniejszą, snadź przeciętnie bardziej, tego rodzaju siedzibę.

Urządzenie tych ostatnich bywało skromne a wygodne. Komnaty obszerne i jasne, z okien wszystkich, z każdej strony — rozległe piękne widoki. Niektóre pokoje były (jak to się i dziś jeszcze na południu spotyka) bardzo skąpo w sprzęty domowe zaopatrzone. Więcej bez porównania wagi przywiązywano do ozdoby ścian, do malowideł, posągów, wazonów — a także wielką zwracano uwagę na piękne założenie ogrodu i jego utrzymanie. Charakterystycznymi były wszędzie strzyżone wysokie szpalery z bukszpanów, cyprysów i cisowych krzaków. Dla przerwania prostej linii tych szpalerów ustawiano przeróżne piramidy, obeliski i wazony, za główną jednak ozdobę każdego parku uważając wodę. Sprowadzono ją ze źródeł i strumieni okolicznych i za pomocą rur rozprowadzano po całym parku; wpadała ona w oczy na każdym kroku, bądź to wytryskując wysoko z muszlowego rogu trytona, bądź to szmerząc z cicha w kunsztownej, skalistej grocie. Hodowla kwiatów była także wysoko posunięta; kwiatowe kobierce pokrywały dużą część ogrodu. Rozmaitość gatunków nie była wprawdzie wielka, ale zastępowała ją niezmierna, choć nielicznych odmian, obfitość. — Z drzew najbardziej rozpowszechnionymi były: morwy, figi, drzewa laurowe i platany, które bluszcz, pnąc się wysoko bogatemi pędami, wdzięcznie ubierał, — a wszędzie na tle bujnej zieloności białe postacie nimf i bogiń.

Zamożny Rzymianin, sumiennie odsiadujący willegiaturę, miał słusność, wybierając na letnią sie-

dzibę miejsce, któreby ze wszystkich stron dostarczało mu rozległych, urozmaiconych widoków. Jego przyzwyczajenia wymagały tego. Kiedy wzrok zapuścił w daleką równinę, czy też patrzył na rysujące się na tle jasnego firmamentu niebieskawe szczyty, — na niezmierzone morze, czy ożywiony gościniec, odczuwał wtedy w całej pełni rozkosze pobytu na wsi. Rozumiał, co to jest „procul negotiis.”

Z upadkiem państwa zniknęły i te kolonie letnich mieszkań, pełne nieprzebranej wspaniałości i zbytku. Gwałtowne najścia północnych ludów zmiotły je, zniszczyły, nie zostawiwszy po nich i śladu. Zniszczenie, zwłaszcza w okolicach Rzymu, było tak zupełne, — spustoszenie zaznaczyło się tak trwale, że do dziś dnia na miejscu pól kwitnących rozciąga się błotniste pustkowie. Tam, gdzie niegdyś z bogatej zieloności wynurzały się wspaniałe letnie pałace, dziś, podobna do olbrzymiego cmentarzyska, Campagna di Roma smutkiem razi i martwością.

Kiedy jednak Rzym stał się powtórnie stolicą świata, i kiedy duch Odrodzenia w papieskim mieście zakwitł sztuką i kulturą, pobudził też w części i letnie siedziby do nowego życia.

Na gruzach tyburtyjskiej willi, wiekopomnego dzieła Hadryana, na ruinach pałacu Mecenasa, i ocalała przepyszna willa d'Este i dokoła rozciągają się jej ogrody. Z rozpadłych murów pałacu Pompejusza nad jeziorem Albano wyrosła papieska rezydencja Castel Gandolfo, a na miejscu dawnego Tusculum, u podnóża Gór Sabińskich, rozkoszują się dzisiejsi Rzymianie willegiaturą, któraby się nie powstydzila swej przedwiekowej poprzedniczki.

Starożytne rody Borghesów, Colonnów, Barberinich i t. p. dają dowody, że upodobanie do sztuki i przepychu w Rzymianach nie zaginęło.

Okolice bardziej od Rzymu oddalone, a szczególnie miejscowości nad brzegami jezior i na południowej pochyłości gór położone, mniej znacznie ucierpiały od dzikich najeźdźców.

Tam dziś, tak samo jak przed wiekami, śliczne wille wieńcem otaczają niebieskie fale jeziora, niemniej pewnie ponętne w swej nowożytnej szacie, jak dawne klasyczne budynki, i jak przed blisko 2-ta tysiącami lat Pliniusz młodszy w odosobnionym domku nad jeziorem Como, w cieniu platanowych gajów, zapominał o gwarzym Rzymie, tak samo i dziś wiecznie świeża natura pociąga licznych podróżnych spokojem i zdrowotnością.

A letnie mieszkania krajowców? Dzisiejszy Włoch, jako przeciwstawienie swoich wielkich przodków, nie lubi zamykać się w odosobnieniu i w niem „procul negotiis” używać niezamąconego spokoju. Pomimo to jednak i pomimo przyzwyczajenia, powstałych z warunków i wpływów dzisiejszego życia, niejeden szczegół wpada w oko, który niezaprzeczenie ma pewne podobieństwo ze staro-rzymską willegiaturą. Trudno jest, co prawda, mówić o letnich mieszkaniach Włochów w ogólności. Już sam wydłużony kształt kraju powoduje wielką różnicę klimatu w różnych okolicach, zaczem idzie różnica w trybie życia i przyzwyczajeniach mieszkańców. W środkowej i południowej części półwyspu, gdzie przemysł i handel mniej kwitną a także kultura ziemi mniej jest rozwinięta, niż na żyznych, urodzajnych płaszczynach północnych, bardzo skromnie zamożny stan średni może sobie pozwolić na zbytek letniego mieszkania jedynie w nader ograniczonym zakresie. — Arystokracja i lud stanowią tu dwa przeciwległe krańce, którym brak wszelakiego łącznika. Przytem arystokracja, pochodząca w większej części ze starożytnych rodów, bywa często przez rodzaj zajęcia pozbawiona swobody rozporządzania czasem, a zdarza się też nieraz, że i środki wielkich panów bywają dość ograniczone. Dla tych też przyczyn w środkowych Włoszech nie rozwinęły się żadne stałe zwyczaje, jak to w północnej części kraju ma miejsce, gdzie ożywiony handel i kwitający stan przemysłu wyrównały nieco różnicę i zatarły niejako odrębność pomiędzy uprzywilejowaną klasą a ludem. Zwyczaj corocznego wyjeżdżania na wieś jest tu nadzwyczaj upowszechniony, i każda rodzina, stosownie do możliwości, przepędza kilka tygodni „in campagna.” — Czas obiera-

ny na pobyt po za miastem nie jest, ja się to czyni w Niemczech, czy gdzieindziej, czasem najwyższych upałów. Włochowi, udającemu się na wieś, nie idzie o to, aby uciec przed gorącem, czy też od wpływu onego się zabezpieczyć: to bowiem łatwiej mu przychodzi w samym mieście, gdzie w potężnych, masywnych budowlach, z zaciszniemi podwórzami, skwarne dni mniej dotkliwie uczuć się dają. — Ochrony od promieni słonecznych tak wybornie są obmyślane, że temperaturę wewnętrzną domów, w porównaniu z panującą na zewnątrz można nazwać chłodną. Wychodzi się jedynie wieczorami. Teżsame zwyczaje zachowują Włosi i podczas pobytu na letniem mieszkaniu. Używanie świeżego powietrza bywa tu często istną illuzją, albowiem, w braku obszernego, cienistego lasu, nikt nie opuszcza swego domku, dopóki słońce zsyła swe piekące, lecz błogosławione promienie: a przecież — tak łatwo możnaby na wyżynach gór pobliskich schronić się przed przykreimi upałami! Majestatyczne łańcuchy wabią chłodem i świeżością, i nawet bez wielkiego trudu dosięgnąć je można. Włoch bynajmniej nie odczuwa tego powabu, widok wysokich szczytów nie wzbudza w nim ochoty do wędrówki; podróżuje nader niechętnie, a temsamem cały czar tego świata gór, tej natury, tak podniosłej i przejmującej w swym bezmiernym, choć może czasem ponurym, spokoju, — pozostał dla Włocha nieznanym. Już po przodkach swoich odziedziczył mało rozwinięty zmysł do ocenienia wspaniałych form górskich i romantyczności dolin.

We właściwych górskich okolicach czyli miejscowościach, które dzięki swemu wysokiemu położeniu zachwycają nas orzeźwiającym chłodem, rzadko znajdziesz Włocha. Natomiast zabudowane płaszczyzny, poprzecinane gładkimi drogami, lub też przedapenińskie wzgórza, wysadzone winem, zdolne są przywabić mieszczucha i w zupełności zastępują mu przyjemności wiejskiego życia.

Wrzesień i Październik są to najwięcej uprzywilejowane na wiejski pobyt miesiące; w czasie tym przypadają i ferye szkolne we Włoszech. Gdy jednak przychodzi kwestya morskich kąpiel, wówczas wybierają przeważnie Lipiec i Sierpień; Włoch bowiem jest nieprzyjacielem zimnej wody, i nie rozumie, nawet i przy największym upale, kąpiele, któraby miała mniej niż 20° R.

Właścicieli wiejskich domów w górnych Włoszech jest mnóstwo. Włoch na letnie, a raczej jesienne, mieszkanie nie wymaga jakiegoś szczególnego położenia: w ogóle więc letnicy nie gromadzą się w jednej miejscowości, jak to gdzieindziej się spotyka.

Nieliczne rodziny, które wynajmują mieszkania, łączą się ze szczęśliwymi posiadaczami własnych domków i życie na letniem mieszkaniu przybiera zwykły, ogólnie przyjęty, wygląd.

Świeże powietrze, swoboda, brak wszelkiego przymusu w stosunkach towarzyskich, uważane są jako główne warunki letniego pobytu. Wszelkie inne rozrywki, jakich miasto dostarcza, nie są wcale pożądane. To służy za regułę.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż ministerium komunikacji zwołuje zjazd przedstawicieli rolników oraz kolei w sprawie projektu zbudowania składów zboża na trzydziestu siedmiu stacyach kolejowych.

— Dzienniki petersburskie ogłosiły otwarcie instytutu gospodarstwa wiejskiego, oraz etat tegoż zakładu.

— Piszą z Petersburga, iż wkrótce ma być ogłoszonem prawo, mocą którego nie będzie wolno wywozić za granicę żadnych zabytków starożytnych bez pozwolenia petersburskiej komisji archeologicznej, lub jej odpowiedzialnych członków korespondentów, którzy w pewnych określonych wypadkach będą mogli wydawać samodzielnie zezwolenie na wywóz danego przedmiotu za granicę. W wątpliwych wypadkach należy odwołać się do decyzji komisji petersburskiej.

— Brak funduszy dla dwóch kolonii letnich w trzecim sezonie nie pozwala na wysłanie do wsi Grotów i Siedzowa dwustu dzieci zakwalifikowanych już do wyjazdu, który miał nastąpić w d. 18 Sierpnia. Ogłoszenia o tym braku zamieszczone w pismach spowodowały ofiary zapewniające utrzymanie dla czterdziestu do pięćdziesięciu dzieci, jednakże warunki, jakie się wytworzyły obecnie, nie zezwalają na ten wyjazd.

— Przebudowanie kościoła na Powązkach pomyslnie postępuje, już wykończa się kaplica głównego ofiarodawcy funduszu na ten cel zbieranego, p. G. Tosińskiego, i z końcem bieżącego miesiąca prace w głównej nawie szybciej posuwać się będą. Dotychczas koszt przebudowy wyniósł blisko 46.000 rs., potrzeba przecież jeszcze 20.000 rs., aby przebudowanie mogło się dokonać, spodziewać się jednak można, że magistrat m. Warszawy, który tu jest opiekunem głównym, potrzebną sumę dołoży. Komitet budowy oprócz ks. Wład. Kulickowskiego tworzą p. p. Bienkowski Wojciech, Butkiewicz Pafnucy i Jasiński Leon.

— W d. 6 bieżącego miesiąca kommissya budowy pomnika Kopernika zbadała wytrzymałość windy do podniesienia figury oraz piedestału. Figurę już też zdjęto z podstawy.

— Posag Żółkowskiego dłuta Woydygi ustawionym już będzie wkrótce w foyer Wielkiego teatru, wskutek tego artyści teatru Rozmaitości podnieśli głos, zali by nie należało umieścić tamże popiersia Bakałowiczowej? Popiersie to znajduje się na wystawie Tow. Sztuk Pięknych i przed laty kilku zbierano składki w celu nabywania go, lecz jest to własność prywatna.

— W wydziale wsparć Tow. Dobroczynności odbyte posiedzenie wykazało, iż wypłacono 35 rs. ubogim wdowom, udzielono półtora rubla z zapisu ś. p. Tekli Rapackiej ubogiej biednej szwaczce. Do zakładu sierot chłopców zakwalifikowano trzy sieroty, do zakładu starców i kalek pięć kobiet, z pomiędzy których przyjęto zaraz jedną, liczącą dziewięćdziesiąt dwa lata.

— Obywatele ziemscy z okolic Kutna zawiazali wspólną udziałową i założyli w miasteczku Krośniewice „Sklep rolniczy“, w którym sprzedają wszelkie przedmioty w związku z gospodarstwem rolnem. Przedstawicielem spółki odpowiedzialnym za stowarzyszonych jest p. Leon Lisowski, właściciel dóbr Szolajdy.

— W krakowskiej szkole sztuk pięknych, którą od śmierci Matejki zawiaduje prof. Łuszczkiewicz Władysław, rok szkolny zakończył się rozdaniem szesnastu medali srebrnych i brązowych, a to: na kursie pierwszym prof. Cynka za rysunki z antyków otrzymali: S. Gottlieb medal srebrny, Ryszard Radwański medal brązowy. Na kursie II prof. Jabłońskiego także za rysunki z antyków wzięli: E. Greinert medal srebrny, J. Bukowski medal brązowy. Na kursie III prof. Łuszczkiewicza za rysunki z natury: Ch. Kutew, bulgar, medal srebrny, R. Pawlikowski i St. Kamocki medale brązowe. Na oddziale IV studyów olejnych prof. Unierzyckiego: Wojciech Weiss, R. Czapkiewicz, medale srebrne, W. Karpiński medal brązowy. Z kursu V i VI malarstwa prof. Leoflera medale srebrne otrzymali: T. Okoń, L. Kowalski, medal brązowy St. Jarecki. W dziale rzeźby, prowadzony przez prof. Dauna, przynano medale brązowe: Bańkowskiemu i Budzińskiemu. W oddziale wyższym mieści się na wystawie jedyny utwór penzla Suskiego, znanego już i z wystawy naszej malarza. Znaczący wykazują, że nie znalazł się między utworami uczniów ani jeden zapowiadający się talent; zdaniem ich, szkoła nie umie wykrzesać w piersi ognia zapалу, rozniecić iskry natchnienia. Wielki mistrz odszedł na odpoczynek wiekuisty i stała się pustka.

— Karol Korwin Milewski sprawił dla kościoła Panny Maryi wspaniałe piękne okno kolorowe, kosztujące blisko 40.000 fran. Myśl takiego okna do starożytnej świątyni zrodziła się w wyobraźni Matejki, jako odpowiednie oświetlenie fresków, któremi penzlem jego ją ozdobił i jestto poniekąd hołd złożony jego pamięci.

— Pierwszy w zakresie budownictwa kościół żelazny ma się wznieść wkrótce w Konstantynopolu nad Bosforem. Materiał ten został obrany ze względu na niestałość miejscowego gruntu i żelazne fundamenta są słupami głęboko w grunt wbitemi. Plan skreślił budowniczy konstantynopolski, Arnavour, lecz cały materiał budowlany przywieziony będzie z Bulgarii; dla możliwego dostępu powietrza w świątyni mieścić się będzie między zewnętrznymi a wewnętrznymi ścianami przestrzeń pusta.

— Trzęsienie ziemi w Grecyi, w stronie jej zachodniej stało się powodem śmierci 335 ludzi, 146 jest ciężko rannych, obok tego lżej obrażonych kilkuset. Szkody materyalne dochodzą dwudziestu dwóch milionów drachm; w samej Attyce, obliczają je na 800.000 drachm, w Liwadii na 1.450.000, a ziemia na całym przestworze Grecyi, wzrusza się coraz w rozmaitych miejscowościach. W Sparcie, w Koryncie, na Zante, Paros, daje się to czuć mieszkańcom silniej, a trzęsieniu towarzyszą jakieś głuche w głębi ziemi szmery.

— Sekcyja Brescia włoskiego alpejskiego klubu wniosła w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca w miejscowości Val d'Avio, na wysokości 2.543 metrów, schronisko: „Refugia Garibaldi“.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się Mamona, przez Mrs Aleksander przekład z angielskiego, ark. 1.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Z poezyi Juljusza Zeyera, przez Miriamę. — Przeznaczenie kobiety, przez M. I. (dokończenie). — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — List z Anglii, przez Augusta. — Kobiety-poetki, przez Antoniego Pileckiego (dokończenie). — Letnie mieszkanie we Włoszech. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Mamona, przez Mrs Aleksander, przekład z angielskiego. Arkusz 1 szy. — Przegląd mód. — 28 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.